



Kiedy wojska radzieckie maszerowały przez wioseczkę Punżanki, jeden z akowców - pan Piotruszewicz wychylił się z okna naszego domu i krzyknął do nich: "Wracać będziecie boso, tak jak w 1920 roku!" Po trzech dniach znaleziono pana Piotruszewicza zastrzelonego niedaleko od jego rodzinnego domu w Czeranach.

Nie jeden z akowców zginął zaraz po wkroczeniu wojsk radzieckich. Ginęli nie tylko akowcy.

Pamiętam, że podczas przemarszu wojsk radzieckich, właśnie w pierwszym dniu, jeden z żołnierzy wpadł do naszego domu i zaczął błagać moją babcię, żeby odwszawić jego ubranie, że on już nie może iść dalej i żeby dać mu do zjedzenia chleb. Babcia szybko dała mamie jego koszulę, którą mama odprasowywała gorącym żelazkiem i wymiotowała przy tym, gdyż warstwa wszów była tak gruba i żelazko dosłownie smażyło te paskudstwa. Był to widok okropny.

Babcia, znająca trochę rosyjski, zaczęła rozmawiać z żołnierzem i wypytywać się go skąd pochodzi. Opowiadał, że urodził się niedaleko Uralu, że w domu jego rzadko był chleb w dzieciństwie, a potem to wywieziono gdzieś jego rodziców i jego zabrano do szkoły wojskowej.

Babcia podała tymczasem jemu do jedzenia gotowane ziemniaki i osełkę z masłem. Żołnierz zaczerpnął pełną łyżkę masła i zawołał: "Babciu, nigdy w życiu nie jadłem tak smacznej kaszy, z czego to jest"! I chociaż w domu nie było zawiele jedzenia, babcia odpowiedziała jak ci smakuje, to jedź, i chociaż nie miała najmniejszego sentymentu do bolszewików, to widok tego głodnego, zabiedzonego żołnierza wzruszył ją do łez. Oddział, w którym maszerował żołnierz radziecki, zatrzymał się również na krótki czas, ale żołnierz zameldował swemu dowódcy, że idzie do ubikacji i bardzo martwił się, czy dowódca ~~nie~~ zauważy, że ma odwszawioną koszulę i czy z tego powodu nie będzie miał kłopotów. Podziękował jednak śpiesznie i przeżegnał się przed obrazem Chrystusa trzy razy, tak jak to czynią prawosławni i pobiegł do swojego oddziału. Wkrótce usłyszeliśmy za wsią trzy strzały. O mój Boże, powiedziała babcia, po raz pierwszy w życiu ten chłopak się najadł i już go zabili. Moment zastrzelenia tego żołnierza widział wiejski kowal. <sup>natychmiast</sup> zaraz po przybiegnięciu do swego oddziału - żołnierz meldował się u dowódcy, a ten wyjął pistolet i strzelił do niego trzy razy. Inni żołnierze zakopali go niegłęboko do ziemi blisko drogi i wiejskiego krzyża. kó

ówczesną Republikę Litewską w ciągu 24 godzin i udać się najbliższym transportem do Polski, a w przypadku niespełnienia owego żądania, miał być ponownie aresztowany. Wszyscy płakaliśmy. Ojciec pożegnał się z nami i odjechał, przyrzekając, że w najbliższym czasie zabierze do Polski mamę, mnie i brata.

Po upływie 24 godzin, od chwili wyjazdu ojca, zjawili się na naszym podwórku uzbrojeni w karabiny z bagnetami żołnierze radzieccy, czy nkawudziści. Zaczęli dopytywać się mnie: "gdzie bandit, gdzie różigo?". Odpowiedziałam, że bandytów w naszym domu nie ma, a róże u nas nie rosną, gdyż nie rozumiałam ani słowa po rosyjsku, a słowo "różigo" kojarzyłam z różami. Jeden z żołnierzy mocno ścisnął moją małą rączkę i zaczął mi ją wykręcać tak, że pociemniało mi przed oczami, ale starszy krzyknął na niego: "Ostaw rebionka, ona niczego nie ponimajet!". Żołnierze przeczesywali tymczasem bagnetami w stodole wszystkie snopki i siano. Mój jedenastoletni brat Franek, powracający z łowienia ryb, zobaczywszy mundury radzieckie, zaczął uciekać w pole. Jeden z żołnierzy to zauważył i chciał strzelać, wołając, że polem ucieka bandyta. Wtedy moja mama złapała za łufę jego karabinu i strzał okazał się niecelny. Mama zaczęła tłumaczyć, że to nie żaden bandyta, tylko syn, jedenastoletni chłopak! Dotarło to do dowódcy, ale żołnierz nadal był jak i inni jego współtowarzysze bardzo agresywny. Dokładnie przeszukiwali cały dom i obejście. Później zabrali się do oglądania rodzinnego albumu, wykazując ogromne zainteresowanie ludźmi w mundurach AK i grożąc mamie, że jeżeli nie powie nazwisk tych panów na zdjęciach, to zostanie aresztowana. Mama i babcia stawiały przed żołdakami butelki z wódką, najlepszą jaka była w domu przygotowana na święta: z miodem, z sokiem. A w końcu 5-litrowy gąsiorek samogonu. Mama tłumaczyła, że na balu wojskowym była, ale nikt się nazwiskiem nie przedstawiał, gdyż była ze swoim mężem, a mąż był bardzo zazdrosny i nie pozwalał rozmawiać z obcymi mężczyznami, nawet w tyńcu. Po zabraniu z szaf, szafek i z chlewów, prawie wszystkiego, oprócz jednej krowy, dano naszej rodzinie jakiś czas spokój.

Wkrótce nadeszło upragnione zaproszenie od ojca na wyjazd na stałe do ukochanej, upragnionej Polski. W ciągu miesiąca wszystko było przygotowane do wyjazdu i zostały wynajęte dwie furmanki, aby dostać się do najbliższej stacji kolejowej. W tym samym czasie w naszej miejscowości zaczęło się dziać niedobrze. Zostały zamordowane i wrzucone do rzeki dwie młode kobiety - Rosjanki, które pozostawiły sieroty. Jedna z nich miała sześciolatecznego synka, a druga siedmioletniego chłopca i pięcioletnią Lilkę. Bawiłam się z tymi dziećmi i bardzo polubiłam Lilkę. Wszyscy ludzie ze wsi byli wstrząśnięci tragedią, ale podejrzanie władz padło znowu na miejscowych ludzi, którzy mieli powiązania dawniej z akowcami i zaczęły się masowe aresztowania mężczyzn od lat 15 do 70-ciu. Po paru dniach w naszej wsi zostały tylko same kobiety i dzieci. Cała wieś męska znalazła się w areszcie, w miasteczku. Podwórko więzienne było ogrodzone drutem kolczystym. Przy ogrodzeniu stało zawsze paru strażników z karabinami. Aresztowani ludzie byli gładni i brudni. Moja mama postanowiła przerzucić chleb przez druty kolczaste, co uczyniła wbrew pogróżkom strażników. Strażnik krzyczał: "Stoj! Budu strieliat!" Lecz mama nie usłuchała i wrzuciła chleb za druty. Po wrzuceniu chleba, mamę natychmiast aresztowano i osadzono w areszcie. Nazajutrz rano był termin naszego wyjazdu do Polski. Poranek był gorący i słoneczny. Ja i brat nie mogliśmy doczekać się mamy. Przyjechały rano dwie furmanki, aby zabrać nas i mamę na pociąg. Wszyscy bardzo niecierpliwiлись się, a mamy nie było. Dopiero przed południem, przyszła z miasteczka sąsiadka Andrzejowa i powiedziała do nas: "Dzieci, waszą matkę aresztowano". Ugotowała nam jedzenie, ale nie chcieliśmy jeść i ciągle wyglądaliśmy oknem, czy nie idzie mama.) Każdy z sąsiadów coś nam przyniósł.

nie udało

Naszą mamę wypuszczono <sup>po</sup> do trzech dniach i <sup>odebrano</sup> zabrano zezwolenie na wyjazd do Polski. W ten sposób pozostaliśmy na Litwie Radzieckiej.

Wkrótce rozpoczęła się kolektywizacja, która polegała na tym, że zabierano ludziom inwentarz żywy i martwy. Kazano płacić olbrzymie podatki za ziemię, której nie uprawiano, gdyż wcześniej zostały upaństwowione maszyny rolnicze, konie i krowy, ziarno i t.p. Nie było czym obsiewać pól. Spędzane w jedno miejsce konie i krowy padały masowo, gdyż nie było czym je nakarmić. Zażo stada głodnych wilków przybywały coraz liczniej na Litwę, bo miały czym się żywić. Pamiętam, kiedyś rano, patrząc w okno, zobaczyłam jak idą wilki, i ~~maliczyłam~~ <sup>maliczyłam</sup> dwaście sztuk. Po zżarciu padniętych krow i koni, były przypadki <sup>tyż</sup> rozszarpania ludzi, gdyż głodne wilki nie chciały wyjść z tych terenów.

Nastąpiły lata głodne i ludziom zabrakło ziarna i ziemniaków. W miastach nie sprzedawano ludziom ze wsi chleba powyżej jednego kilograma. Kto kupił trochę więcej chleba, to na Dworcu Wileńskim <sup>kontrolowała</sup> pilnowała milicja i chleb odbierała.

Ludziom podsuwano papiery i mówiono w Sielsowietie - odpowiednik Rady Powiatowej, aby pisali prośby o przyjęcie do kołchozu. Ktoś, kto znał trochę język rosyjski jeszcze z czasów cara, napisał podanie mojej mamie: "Ja Maria Butowicz - proszę Waszej miłości priniat' mienia w kołchoz". Podanie przyjęto pozytywnie, jak i setki innych podań. Matka moja pracowała od świtu do nocy w kołchozie. Brat chodził do szkoły a ja psociłam w domu. Po pierwszym przepracowanym roku w kołchozie moja matka otrzymała 15 kiligramów stęchłego zboża, którego nawet kury nie chciały dziobać. Po roku nieurodzaju i klęski były piękne zbiory. Przewodniczącym kołchozu został mianowany, przysłany z Ukrainy oficer radziecki, któremu rodziców, czyli ~~zax~~ bogatych kazaków, zlikwidowała władza radziecka a z niego usiłowano zrobić stuprocentowego człowieka radzieckiego, nieczułego na niedolę ludzką i o twardej ręce. Nie miał on co prawda pojęcia o rolnictwie, ale pytał się co zamożniejszych byłych gospodarzy, co i kiedy należy siać i sadzić i t.p. Nikogo też nie wsadził do więzienia, chociaż miał nakaz, że każdego człowieka napotkanego ze zbożem, czy nawet jedną główką kapusty, ma zgłosić do prokuratury rejonowej, która takiego delikwenta ześle na 8 lat, na katorgę.

Kiedy zebrano z pól, zapytał, że on słyszał w dzieciństwie od swojego ojca, że w Polsce jest takie święto - dożynki. Ludzie mu opowiedzieli o tym święcie. Zresztą po zakończeniu prac w polu, przyniesiono piękny snop zboża i śpiewano pieśni dożynkowe. Pan przewodniczący nie bacząc na zakazy i nakazy odgórne, kazał zabić kilka wieprzków, parę cieląt i wyprawił ~~kix~~ piękny bal dla ludzi pracy. Bawiono, ~~ix~~ się, jedzono i pito do rana. Tej nocy rozlegały się nawet polskie pieśni, zabronione przez władze radzieckie. A rano przybyła do Puńżanej wyższa władza i zabrała do samochodu jeszcze rozbawionego przewodniczącego kołchozu i więcej nikt go nie widział i nigdy już nie było żadnego święta dla ludzi pracy. Jego żona i córeczka nie otrzymały nigdy żadnej wiadomości. Wkrótce jego żona przeniosła się do miasteczka i zaczęła pracować jako pielęgniarka w szpitalu w Podbrodziu. Po tym zdarzeniu, stanowisko przewodniczącego kołchozu otrzymał miejscowy komsomolec - Edward Klukowski, z awansu społecznego. Ludzie mówili po cichu, że to on zgłosił byłego przewodniczącego do władz radzieckich i napewno tak było, gdyż zaraz po objęciu swego stanowiska, zaczął wypędzać "kułackiego ducha" z byłych zamożnych gospodarzy.

precept